

## Przemysław Piętak: Zanim powstała „Kultura”

W 1931 r., na łamach czasopisma „Żagary”, początkowo ukazującego się jako dodatek do wileńskiego dziennika „Słowo”, Czesław Miłosz daje się poznać jako radykalny publicysta. „Dezorientacja polskiej literatury” – grzmi w artykule „Bulion z gwoździ” – pisze Przemysław Piętak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grydzewski. Epoka czasopism”.

„Wśród ideowców wybili się Ksawery Pruszyński i Giedroyć.” – 4 stycznia 1933 roku pisał w liście do hrabiego Stanisława Łosia, ziemianina i dyplomaty, Adolf Bocheński, jeden z najwybitniejszych przedwojennych konserwatywnych publicystów.

Pruszyński pisywał w „Czasie” drobnym drukiem *faits divers*, na ostatniej stronie, przy czym wyrobił sobie doskonałe pióro. Kiedy jednak „Czas” nie chciał drukować jego wstępnych artykułów, obraził się na Kraków, a ponieważ w sam raz nawinął się [Stanisław Cat] Mackiewicz, który obiecał mu artykuły wstępne, przeto przeniósł się do Wilna, gdzie pisuje w „Słowie”. Giedroyć był sekretarzem ministra rolnictwa Janty Połczyńskiego i kierował organizacją mocarstwową. Oni to obaj zrobili secesję ideową od Rowmunda [Piłsudskiego] i wydają pismo pt. „Bunt Młodych”. Celem ich jest tworzenie ideologii zachowawczej, a jednak mogącej objąć wszystkie sfery. Mają swoich ideowców jeszcze od Rowmunda, którzy są rzeczywiście ideowcami, gdyż choć klepią biedę, jednak za własne pieniądze

wydają ten „Bunt Młodych”. Jest to jedyne pismo, które ma ambicje polityczne i ideologiczne, a nie jest zależne od żadnej grupy partyjnej, ani od rządu. Odcień jest lekko opozycyjny, a jednak nieendecki, jest w sprawach mniejszościowych takich przekonań, jak Pan i ja. Jest konserwatywne, a jednak ma entuzjazm i wiarę w swoje hasła, których brak naszym kanapistom. Ponieważ znałem osobiście Ksawerego Pruszyńskiego, zwrócił się on do mnie, żebym skarotował Pana na stałą współpracę w „Buncie [Młodych]”. Poza tym będą pisywać mój brat i Piotr Borkowski.

**Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.**

**Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.**

„Bunt Młodych” jest pismem do którego w większości pisują młodzi ludzie, którzy swego czasu na uniwersytetach brali udział w ruchu mocarstwowym, lub też ludzie którzy się na innych polach do ruchu naszego przyłączyli. – pisał w lipcu 1933 roku Ksawery Pruszyński, jeden z czołowych publicystów redagowanego przez Jerzego Giedroycia od 1931 dwutygodnika, przekształconego z piłsudczykowskiego „Dnia Akademickiego”, pisma stowarzyszenia Myśl Mocarstwowa.

Punktem wyjścia założenia na uniwersytetach polskich „Myśli Mocarstwowej” było przekonanie, że dzień 11 listopada 1918 roku był wielkim ciachnięciem szablą po splocie gordyjskim tych wszystkich przedniepodległościowych prądów, ruchów, kierunków i koncepcji politycznych, które jako cel miały wszystko – ale nie Niepodległość bezpośrednio.” – czytamy

dalej w programowym tekście Pruszyńskiego. „Wielkością ruchu konserwatywnego w Polsce, wielkością w momencie stu procent jego klęski było to, że ani na moment nie starał się w nikogo wmawiać, że on „też” był niepodległościowy na równi z Legionami czy lepiej. Ruch konserwatywny w 1918 roku stwierdzał: „tak jest, pomyliliśmy się. Naszą koncepcją była Niepodległość Polski, ale w koncepcji austriackiego trializmu, czy Polski rosyjskiego zaboru, więc Polski bez Wielkopolski, bez Galicji. Niepodległość niepełna, kadłubowa. Nie wierzyliśmy w cud złączenia w toku 4 lat tego, co rozłączone było wskutek stu lat bezrządu i na sto lat niewoli. Niepowodzenie kilku powstań kazało nam być ostrożnym. Byliśmy ostrożnymi w momencie gdy racje mieli szaleni. Był to błąd: nie było to zbrodnią. „Konserwatyzm” Stańczyków miał tysiąc i jeden więcej praw niż Endecja do proklamowania siebie partią niepodległościową... - w kilka lat PO Niepodległości. Ale ludzie Stańczyków którzy życie całe strawili w polityce w której Wolność – to był tylko ów „cel daleki”, szanowali jej zdobycie zbyt drogo by jej zasługę sięgać rękoma, które po w wielkiej wojnie ludów karabinu polskiego nie niosły. Kiedyś opinia polska zaszłutuje tej postawie, jak salutujemy w obecnej chwili my, którzy możemy ją w Świetle historii zrozumieć - ale już na niej budować nie możemy.

Ksawery Pruszyński, zmarły tragicznie w wypadku samochodowym 13 czerwca 1950 w drodze z Hagi do Warszawy, już kilka lat po napisaniu powyższych słów odetnie się od środowiska młodych konserwatystów o piłsudczykowskich sympatiach. „Wśród wrzasków, wśród oklasków, wśród głębokiego przekonania, że kroczymy naprzód, że jesteśmy mocarstwem, że krzepniemy, że idziemy frontem do wsi, że działamy państwowotwórczo, że propagujemy i krzewimy, będziemy się

stopniowo, nieuchronnie osuwali w dół, na dno” – napisze w 1936 r. Zaledwie 35-letni w chwili zakończenia wojny, jako jeden z pierwszych, już we wrześniu 1945 r. powróci do kraju, m.in. za namową Jerzego Borejszy. Już w listopadzie 1945 r., zostanie radcą polskiej ambasady w Waszyngtonie. Niedługo później, współpracę ze służbami dyplomatycznymi komunistycznego rządu obejmie również Czesław Miłosz, początkowo w konsulacie polskim w Nowym Jorku, następnie na stanowisku attaché kulturalnego PRL w Waszyngtonie.

Cofnijmy się jednak w czasie o czternaście lat. W 1931 r., na łamach czasopisma „Żagary”, początkowo ukazującego się jako dodatek do wileńskiego dziennika „Słowo”, Czesław Miłosz daje się poznać jako radykalny publicysta. „Dezorientacja polskiej literatury” – grzmi w artykule „Bulion z gwoździ”.

Biedni spece w sztuce pisania, krążą od jednej kapliczki literackiej do drugiej i szukają, szukają za wszelką cenę jakiejś racji, która by usprawiedliwiła ich prace. Dała sankcje. Rozgrzeszyła z błędów. Naokoło huczy olbrzymi świat, koła maszyn miotają się gorączkowo, są pochody, bezrobocie, głód, okrwawione asfalty w Berlinie, bojówki wielkiego kapitału, a tymczasem poeta siedzi przy biurczku i pisze wierszyk o ukochanej. Już to zestawienie wywołuje zgryźliwe i pogardliwe uwagi. Nic też dziwnego, że poeta, jeżeli nie jest kretyńcem, czuje wyrzuty sumienia. Stara się zrobić coś takiego, aby wziąć udział w tym wielkim świecie polityki i nafty, który zaczyna się zaraz za biurkiem. No i pisze patetyczny utwór gdzie nawołuje do rzucenia karabinem o bruk ulicy. Jeżeli stoi wyżej etycznie, to nie zadawała się już doraźnym wtargnięciem w sferę spraw społecznych, ale oddaje się bez zastrzeżeń jakiemuś prądowi,

pisze wiersze-plakaty, wiersze-ulotki. Ale zarówno pierwszy jak i drugi myślą się. Ich stosunek do zjawisk społecznych jest niezorganizowany. Czysto uczuciowy.

Już kilka lat później, w 1936 r., w artykule „List do obrońców kultury”, autor wydanego rok wcześniej tomu poezji „Trzy zimy” stanie jednak w obronie indywidualizmu artysty. „Prawo do introspekcji, do wyrażania przede wszystkim siebie samego jest prawem do wydobywania maksimum tego, co pisarz dać może.” – napisze Miłosz.

Czy powołaniem pisarza jest mówienie tylko swoim własnym głosem, czy może jednak stawanie się głosem i sumieniem społeczeństwa i narodu? Zwolennikiem tej drugiej postawy wydaje się Jerzy Andrzejewski, który w opublikowanym w prawicowym piśmie „Prosto z Mostu” (7/1935) pisał poniższe słowa:

Bankructwo ustroju liberalnego i kapitalistycznego wciąż współczesnego człowieka w splot nowych zagadnień, w gorączkową atmosferę poszukiwań. W tych warunkach ładu społecznego nie zdobywa się w ciągu jednego dnia, ani nawet w ciągu jednego roku. Oczywiście najłatwiejszym rozwiązaniem trudnej sytuacji jest zaciągnąć się pod sztandar pewnej określonej ideologii made in zagranica. W naszym np. życiu literackim dość obficie reprezentowana jest ideologia komunistyczna. Wprawdzie wewnątrz odłam tej literatury (reprezentowanej zresztą niemal wyłącznie poezją i reportażem) posiada łatwy do wykrycia charakter mieszczański, tym niemniej zewnętrznie może on służyć za przykład pozornego osiągnięcia ideowego ładu. Cała tylko rzecz w tym,

że ten ład jest obcy naszej psychice narodowej i zaszczerpiony na naszym gruncie wcześniej czy później musi skarłowaciec, względnie przekształcić się po linii naszego polskiego charakteru. Światopogląd społeczny tylko wówczas staje się twórczym czynnikiem w życiu zbiorowości i jednostki, jeśli wyrasta i rozwija się na gruncie narodowym.

Artykuł Andrzejewskiego ukazał się w dwóch częściach. W drugim z nim, wywołany z imienia i nazwiska został Witold Gombrowicz, który „Ferdydurke” opublikuje dopiero za dwa lata (w 1937), a na razie jest znany opinii publicznej niemal wyłącznie jako autor zbioru opowiadań „Pamiętnik z okresu dojrzewania”, wydanego w 1933 roku.

Przyszły autor „Transatlantyku” odpowie Andrzejewskiemu już kilka tygodni później, w numerze 9/1935 „Prosto z Mostu”.

Dlaczego nie mam – rzeczywiście, nie mam – ani ideologii, ani „postawy moralnej”? – pisze Gombrowicz. „Rzecz jasna, dziś – kiedy rozmaite „ideologie” i „postawy” mnożą się, jak gdyby po deszczu – nie byłoby nic łatwiejszego, jak dopasować sobie jedną z nich i szermować nią już do końca dni swoich, co w języku bardziej górnym nazywa się „dopracowaniem się ideologii”. Jeżeli tego nie robię, to nie z powodu braku, ale z powodu nadmiaru różnych ideologii w atmosferze. Obawiam się też, że przyjmując taką to, czy inną ideologię, musiałbym w wysokim stopniu się ograniczyć, co znów wpłynęłoby osłabiająco na moją żywotność i szczerość. Bezkresna nuda, ziejąca ze wszystkich oficjalnych wystąpień i ich oddalenie od życia potwierdza w wysokim stopniu te przypuszczenia.

Czy mam już do końca wyznać moje marzenia? Pragnąłbym pozostać w życiu publicznym człowiekiem prywatnym, piszącym z rzadka w miarę potrzeby i według własnych, a nie cudzych konieczności coś, co jednym będzie odpowiadało, a drugim nie. Tu zdaje się zachodzi fundamentalna różnica pomiędzy p. Andrzejewskim, a mną. On sobie wyobraża pisarza, jako Wieszczą, Kapłana czy Nauczyciela, w kategoriach pewnej filozofii, ja zaś jako pana X., zamieszkałego na Wspólnej. Czy za pomocą tak skromnego wyobrażenia można stworzyć wiekopomne dzieło, nie wiem i nie troszczę się o to, idzie mi bowiem bardziej o realizm moich wyobrażeń, niż o ich walor użytkowy. W każdym razie nie widzę tym stanowisku nic niemoralnego.

Niemal dwie dekady później, siedem lat po zakończeniu II Wojny Światowej, echa tych słów odnajdziemy w liście, przebywającego już wtedy na emigracji w Argentynie Gombrowicza, do redakcji londyńskich „Wiadomości”.

Cóż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska, to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego rozpaczliwego szamotania się i zmagania z przeważającymi, wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju? Czyż więc „Polska” nie jest tworem niedoskonałym, słabym i zżartym wszelkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym? Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy, wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem

pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej „polskości”, która go dzisiaj określa?

A teraz dalsze pytania: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patriotą? Czy myśl, wyłożona powyżej, w ostatecznych swoich następstwach wzmacnia czy osłabia naród? Bo przecież Polska składa się z Polaków. I, na przykład, czy ci co mają na widoku jedynie doraźne interesy Polski, nigdy zaś własną godność, uczciwość, własny rozum, własne uzdolnienia, ci co oddają się fałszowaniu rzeczywistości, jakiejś taniej i niemądrej propagandzie, albo wprost głoszą konieczność rezygnacji z własnego „ja” na rzecz ślepej dyscypliny, mającej wytworzyć tę upragnioną moc, albo zmuszają siebie i innych do miłości i wiary – czyż oni na dalszą metę nie przekreślają wszelkich możliwości rozwojowych narodu? Cóż wart jest naród, złożony z ludzi sfalszowanych i zredukowanych? Z ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na żaden szerszy, swobodniejszy odruch z obawy by im się ten naród nie rozpadł?

Jest rok 1952. W styczniu ukazuje się 51. numer „Kultury”, redagowanej przez Jerzego Giedroycia początkowo w Rzymie, a od października 1947 w prywatnym domu w podparyskim Maisons-Laffitte. W lutym 1951 do tego domu wprowadza się Czesław Miłosz, zrywając z Polską Ludową i wybierając status emigranta politycznego. „Jeżeli Miłosz mieszka u Pana, to nie będę do niego osobno pisał.” – czytamy w liście Witolda Gombrowicza do Jerzego Giedroycia z 9 stycznia 1952. „Proszę mu

powiedzieć, że przesyłam wiele uprzejmych pozdrowień jego swobodzie i suwerenności, a także dojrzałości i roztropności – bardzo mi to odpowiada i nie tylko dlatego, że mnie wspiera.”

*Przemysław Pięta*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego